
Polska–Niemcy w oczach gorzowian AD 2006 zapis dyskusji

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 14, 71-90

2007

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Polska–Niemcy w oczach gorzowian AD 2006 zapis dyskusji

26 października 2006 roku w siedzibie Archiwum Państwowego odbyła się dyskusja dotycząca kwestii polsko-niemieckich. Jej uczestnikami były osoby spośród Towarzystwa Przyjaciół Archiwum i Pamiątek Przeszłości, a także zaprzyjaźnione i współpracujące z Archiwum Państwowym. Obszerne fragmenty tej dyskusji zamieszczamy poniżej.

Dariusz A. Rymar: Serdecznie witam państwa na naszej dyskusji. Jej celem jest wymiana opinii na temat kontaktów polsko-niemieckich. Sądzę, że dla nas, gorzowian, jest to niezwykle interesujące zagadnienie nie tylko z racji zamieszkiwania na ziemiach zachodnich, ale także z uwagi na liczne przejawy współpracy i dobrych kontaktów z dawnymi niemieckimi mieszkańcami Gorzowa. Ostatnio mieliśmy do czynienia z dwoma istotnymi wydarzeniami w tej sferze. Po pierwsze w Berlinie otwarta została wystawa „Wymuszone drogi”, która jest wstępem do budowy Centrum Przeciw Wypędzeniom. Druga – o znaczeniu lokalnym – to odsłonięcie „Dzwonu Pokoju” ufundowanego wspólnie przez miasto i związek dawnych mieszkańców Landsbergu. Chciałbym, abyśmy porozmawiali dziś o tych i innych wydarzeniach wokół dialogu polsko-niemieckiego. Nasuwają się tu następujące pytania:

1. W jakim miejscu są dziś relacje polsko-niemieckie?
2. Czy ma dla nas znaczenie fakt, że te relacje pogorszyły się na szczeblu rządowym?
3. Czy powinno być dla nas dyskomfortem, że nasze lokalne kontakty do pewnego czasu współgrały ze zdarzeniami, które odbywały się w wielkiej polityce, a od pewnego momentu rozwijają się w rozdzwieku, który spowodowały odmienne zdania w sprawie eurokonstytucji, wojny w Iraku, Centrum Przeciw Wypędzeniom czy też wreszcie gazociągu bałtyckiego?
4. Czy w związku z tym w naszych działaniach powinniśmy uwzględnić to, co dzieje się na szczeblu rządowym czy też nie?
5. Czy powinniśmy przykładać jakieś znaczenie do złośliwych żartów i komentarzy, jakie zdarza się zamieszczać brukowej niemieckiej prasie, jak np. sprawa ośmieszania głowy państwa w „Tageszeitung”, złośliwe i prostackie żarty z polskich piłkarzy w czasie mundialu?
6. Jak oceniamy ostatnie wydarzenia – wystawę „Wymuszone drogi” i „Dzwon Pokoju”?

Dla ilustracji przytoczę jeden z żartów związanych z mundialem, który znalazł się w reklamie marketu Media Markt – sieci obecnej także w Polsce: *Na łączach polski fan. – Przepraszam, jak pana nazwisko? – Jestem Klaus. – Co kradniesz? – Nic nie kradnę. – Wiedziałem. Przy tak niskich cenach w Media Markt kradzież się nie opłaca* – takiej treści reklama pojawiła się niedawno w Niemczech w wielu stacjach radiowych. Tego typu dowcipy stoją w jawnej sprzeczności z tym czego sam doświadczyłem, jako jeden z tysięcy kibiców na mundialu: będąc na meczu w Gelsenkirchen wszędzie spotykaliśmy się z ogromną życzliwością i sympatią ze strony Niemców. W oknach kilku domów widzieliśmy polskie flagi i symbole narodowe. Natomiast w tym samym Gelsenkirchen doświadczyłem ogromnej niechęci polskich kibiców do Niemców.

Henryk Maciej Woźniak: Pragnę na moment wrócić do ważnego wydarzenia, które miało miejsce 3 stycznia tego roku. Oto bowiem 3 stycznia 2006 r. panie dyrektorze, w tej sali odsłaniał pan symbolicznie tablicę firmową Archiwum Państwowego w Gorzowie, która następnie zawisła na frontonie budynku oraz odbierał nominację dyrektorską. Dobrze pamiętam, jak wiele obaw mieliśmy, kiedy w czerwcu zainicjowaliśmy formalne wystąpienie do pani prof. Darii Nałęcz, pismem, w którym przypominałem dawne wzajemne zobowiązania. Obaw, że może z tego powstać mgławica, z której nie wiadomo, co się wyłoni. Wyłoniło się jednak samo dobro – mamy samodzielne Archiwum, z tego trzeba się bardzo cieszyć, jest to sukces osobisty Olka Rymara i jego współpracowników oraz wszystkich działaczy skupionych w Towarzystwie. Towarzystwo wykonało ogromną, gigantyczną pracę i to jest ten wspaniały efekt.

Proszę państwa myślę, że Gorzów ma modelowe stosunki ze wspólnotą mieszkających tutaj do końca wojny Niemców, choć trudno taką cezurę jednoznacznie wprowadzić, bo przecież wojna się skończyła, a Niemcy mieszkali nadal w Gorzowie, ich Landsbergu. Od wielu lat te stosunki kształtują się pozytywnie i był taki czas, kiedy właśnie te stosunki, w moim przekonaniu, wytyczały pewne standardy na poziomie wielkiej polityki. Na początku lat 90. minionego wieku na poziomie małych ojczyzn, i relacji społeczności lokalnych kształtował się dobry standard relacji polsko - niemieckich w wielkiej polityce. Dziś sytuacja wygląda jednak inaczej ze względów, o których mówił dr Rymar. Naszą uwagę, myślę będzie długo jeszcze przykuwać idea berlińskiego Centrum Przeciw Wypędzeniom pani E. Steinbach, jako działanie o charakterze politycznym, które zaburza pewne relacje, powiedzmy to wyraźnie – dobre relacje lokalnych wspólnot polsko-niemieckich i relacje państwowe polsko-niemieckie. Ja nie mam wątpliwości, że nie jest to idealny pomysł.

Uważam, iż centra przeciw wypędzeniom powinny powstawać wszędzie tam, gdzie to wypędzenie miało miejsce. Również tutaj, bowiem właśnie w Gorzowie miały miejsce wypędzenia poprzednich mieszkańców, Niemców. Jest też to miejsce, do którego przybyli ludzie wypędzeni ze swoich siedlisk, z polskich kresów wschodnich. I to tutaj właśnie, choćby na bazie zbiorów Heimatsmuseum w Herford oraz jubileuszowej wystawy gorzowskiego Muzeum na 60-lecie powojennego Gorzowa można by było takie centrum przeciw wypędzeniom utworzyć. Mogłaby też powstawać na tej zasadzie sieć centrów przeciw wypędzeniom w wielu krajach. Jeżeli już jednak rozważać jedno wielkie Centrum Przeciw Wypędzeniom, to powinno być to wspólne Centrum, jeżeli bowiem Europa stała się wspólnotą, to powinna się zdobyć na stworzenie Centrum Przeciw Wypędzeniom, które by było taką soczewką tej dramatycznej migracji ludzi wyzutych z własnych ojcowizn w całej Europie. Miejsce tego jest w Strasburgu, tam gdzie jest Parlament Europejski, co do tego nie mam wątpliwości. Jeżeli byłaby dobra wola ze strony Niemców, to oni powinni uszanować to dążenie wspólnoty europejskiej.

Dla lokalizacji w Berlinie widzę natomiast muzeum wojny, bo przecież stamtąd wyszła druga wojna światowa i tam można, a może nawet trzeba utworzyć muzeum, które pokaże całą prawdę o okropnościach wojny oraz o roli Niemców w II wojnie światowej.

Niech to zabrzmii jak przestroga – Centrum Przeciw Wypędzeniom, w moim przekonaniu, będzie w przyszłości muzeum martyrologii narodu niemieckiego i ta gleba nie wyda dobrych owoców! Dlatego tylko, a nie z braku szacunku dla niemieckich ofiar wojny jestem przeciw pomysłowi Pani Steinbach.

Co my powinniśmy robić w tej sytuacji, pyta dr Rymar? Powinniśmy robić swoje. Nie powinniśmy poddawać się pewnym negatywnym trendom, które zachodzą dzisiaj w

polityce międzypaństwowej, powinniśmy pielęgnować te bardzo dobre relacje na poziomie lokalnym, bo to wpływa, to przekłada się w sytuacjach napięć międzypaństwowych na ich tonowanie. My mamy jeszcze wiele do zrobienia, mimo iż wiele już zrobiliśmy, bardzo wiele zrobiliśmy. Wchodzi w dorosłe życie kolejne pokolenie Niemców, których korzenie są tutaj i my powinniśmy dziś, w moim przekonaniu, stworzyć realne warunki do tego, by wspólnota landsberska mogła przekazać swoje zbiory do Gorzowa. Zahałem się, by dobrze określić to, co chciałem powiedzieć, stworzyć dobre warunki, tzn. wyjść z inicjatywą, powiedzieć, że tego chcemy. Tu potrzeba oficjalnego stanowiska władz Gorzowa; otworzymy swoją gościnność i swoją życzliwość na tę warstwę materialną i duchową, która wraz z landsberżanami (tak usiłuję nazywać wspólnotę) wywędrowała kiedyś z Landsbergu, czy z Gorzowa. Takie zaproszenie złożyłem przed 10-ciu laty, będąc w muzeum landsberskim przy okazji podpisywania umowy o partnerstwie miast Gorzów i Herford.

Myślę, że to jest chyba w tej chwili, w dzisiejszej rzeczywistości, dla nas gorzowian najważniejsze zadanie. O tej inicjatywie wspólnoty rozmawiałem z przedstawicielami jej kierownictwa w ubiegłym roku. I taka deklaracja padła, na przyszlóroczny jubileusz 750-lecia Gorzowa była wola przekazania tych zbiorów, przekazania do Gorzowa całego muzeum. Jednakże ostatnio zrobiło się o tym cicho, to mnie mocno niepokoi. Stąd myślę powinien wyjść bardzo jednoznaczny, klarowny sygnał. Tak, tu w Gorzowie jest miejsce, by następne pokolenia tych, którzy stąd odeszli nie z własnej woli, mogły szukać swych korzeni, dawnych śladów, właśnie tu, w tym miejscu, nie gdzieś w Herford, Bielefeld albo jeszcze gdzie indziej.

A jak powinniśmy reagować na różne złośliwości prasowe? Złośliwości zawsze były, są i będą; powinniśmy unikać oficjalnego reagowania na przeróżne rzeczy, które mają charakter satyryczny. Największą głupotą jest reagowanie bardzo napuszone i bardzo oficjalne w sytuacji, gdy rzecz dotyczy konkretnych osób, a nie państwowości, nie formacji. To prowadzi do takiego zapętlenia stosunków, w jakich myślę jesteśmy dzisiaj. To, że jesteśmy w zapętleniu, to jest rzecz, myślę, oczywista, i tu różnice interesów państwowych mają swój ogromny wymiar. Niemcy czują się potęgą gospodarczą Europy i w związku z tym chcą dyktować, chcą przygotować się wspólnie z Rosją do ustalania na pewnym poziomie warunków w całej Europie i po to jest ta gazowa rura bałtycka, to jest oczywiste i zrozumiałe. Dla nas jest to sytuacja niezwykle niebezpieczna, bo może się okazać, że my mamy rurę „przyjaźni”, w której będzie tylko powietrze i to nie takie, którego byśmy chcieli, nie o takim składzie chemicznym. Natomiast całe zaopatrzenie energetyczne pójdzie pod Bałtykiem i będziemy w szachu, ale przecież nie tylko my. Tutaj brakuje mądrej polityki zagranicznej, która pozwoliłaby uświadomić całej europejskiej wspólnoty, jak ważna jest to rzecz. Ale śmieszności, satyra to nie jest temat do zajmowania się dla czynników oficjalnych, bo to tylko prowadzi do zaoogniania sytuacji, do tego, że z powodu choroby polityków, mniej lub bardziej realnej odwołuje się wydarzenie polityczne dla Polski niezwykle ważne. Polska sama się alienuje w ten sposób i pozbawia się prawa głosu, prawa oddziaływania na bieg zdarzeń w skali całej Wspólnoty Europejskiej. Uszczypliwości, dowcipy niech będą domeną prasy i internautów; jak tam się pojawi kartofel, to tu może się pojawić burak i to się tam jakoś równoważy, jednak narody muszą uczyć się pewnego dystansu do siebie, muszą nauczyć się również reagować na te zaczepki o kradzieżach itd., itd.

Ja pamiętam kiedyś daleko za Berlinem stanęliśmy na parkingu autostradowym i podszedł starszy człowiek, który taką ze Śląska chyba polszczyzną, podszedł na długość wyciąg-

niętej ręki, mówi: „Co kradzione, kradzione, nie?!” pokazując na nasze służbowe granatowe BMW. Odpowiedziałem, nie – kupione i odszedłem. Tak to się skończyło, ani nikt nie chciał go gonić z kamieniem, rzucać w niego, ani.... Po prostu. W nim coś było, jakaś zadra, potrzebował to powiedzieć i przejść nad tym do porządku dziennego. My też, ignorując go, a nie klóćąc się, myślę, że go zawstydziliśmy. Trzeba nauczyć się z tym cierpliwie żyć.

Tu się wszystko wyrównuje, niwelują się dawne dysproporcje i jestem przekonany, że za 15 lat będą dowcipy o gnuśnych Niemcach, a nie leniwych Polakach. Tak to całkiem niezłe idzie, młode pokolenie nasze wcale nie ma kompleksów i jest na tyle dobrze przygotowane do rywalizacji z rówieśnikami o miejsce w Europie, że to się całkowicie może zmienić. Czas to zmieni. Kochać się nie musimy, ale nienawidzić się nam nie wolno! Dziękuję bardzo.

Dariusz A. Rymar: Ja nie do końca bym się zgodził z tym wszystkim, bo tam, gdzie mówimy o satyrze, nawet tak złośliwej jak ta w „Tageszeitung”, to rzeczywiście reakcja polska była mocno przesadzona. W końcu politycy są pod presją mediów. Z pewnością w naszych mediach też nie brak dowcipów na temat głów innych państw. Jeżeli jednak mówimy o złośliwych żartach jak w przytoczonej reklamie Media Markt, to trzeba stwierdzić, że odwołuje się ona do negatywnych stereotypów i utrwała je, i wydaje mi się, że jest to wysoce szkodliwe. Nie pamiętam, aby w Polsce w spotach reklamowych naigrzywano się z jakiejś nacji. Być może jest to kwestia poczucia humoru innego w Niemczech, innego w Polsce. Pytanie jest tylko takie, moim zdaniem, czy jest to element jakiejś większej całości, jakiejś polityki, czy jest to głupota jakiegoś specjalisty od PR?

Zdzisław Linkowski: Chcę powiedzieć, że bardzo chciałem tę wystawę zobaczyć, ponieważ w pewnym momencie poczułem się zmanipulowany, szczególnie wypowiedzią premiera, który jak się okazało, wcale na tej wystawie nie był, nie widział i usłyszał coś, gdzieś dzwonił w jakimś kościele i on nie wiedział, w którym, no więc ja też do tego miejsca chciałem pojechać. I mam przede wszystkim spostrzeżenia jako muzealnik.

Proszę Państwa, jest to wystawa, którą muzealnik może być rozczarowany, ponieważ jest nieduża, zorganizowana podobno za pół miliona euro, co dla nas, w naszych warunkach, jest kwotą kosmiczną. A tymczasem jest to najprostsza wystawa, jaką można było zrobić, wprawdzie nie z papieru, a folii drukowanej przyklejonej do szkła i podświetlonej od tyłu oraz przypadkowych gablotek, z przypadkowymi eksponatami, które jakby żyły własnym życiem, niekoniecznie właściwie ilustrowały ten problem. Dlaczego o tym mówię? Dlatego, że chcę powiedzieć, że tak zorganizowanej wystawie przypisano wręcz demoniczne znaczenie dla stosunków polsko-niemieckich. Więc było to, że tak powiem, pierwsze nieporozumienie, jakie zrozumiałem po obejrzeniu tej wystawy.

Druga sprawa, to szukałem tam jakiś elementów, które dotyczyły treści antypolskich, albo godzących w nasze racje narodowe, głoszone przez naszych historyków prawdy historyczne. I muszę właśnie powiedzieć, że nie znalazłem. Może za mało czasu poświęciłem tej wystawie, ale nie znalazłem. Natomiast cośmy znaleźli? Znaleźliśmy to, że akurat sprawom polskim były tam poświęcone plansze może w większej ilości niż innym nacjom, że były tam zarówno wypędzenia przez Niemców, jak i wypędzenia np. z kraju Warty, czy roboty przymusowe w Niemczech. Ale były również wypędzenia dokonane przez armię sowiecką z terenów zajętych po 17 września 1939 roku; i właściwie to chyba wszystkie te elementy, na które my, Polacy, zwracamy uwagę na temat naszych losów wojennych były zaznaczone. Wiedza na ten temat, którą ta wystawa zaprezentowała,

wała, była wiedzą podręcznikową na poziomie liceum. Trudno byłoby powiedzieć, że były tam jakieś nowe odkrycia, które może by jakimś przeciętnym widzom wstrząsnęły, zainteresowały, natomiast dla historyka, zwykłego szarego magistra historii, nic tam zaskakującego znaleźć nie można.

I następny wątek, którym chciałem się podzielić, to prawo do własnego osądu, później prawo do swobody wypowiedzi, prawo do prawdy. I tutaj nie spotkałem właściwie nic, co przeczyłoby zdrowemu rozsądkowi, temu prawu, natomiast pomyślałem sobie, że my odmawiamy Niemcom prawa do własnego widzenia przez własne doświadczenia historii, tylko dlatego, że oni tę wojnę wywołali. Przecież akurat na tej wystawie te proporcje krzywd były w jakiś sposób zrównoważone. Nie można powiedzieć, że Niemcy tam jako szczególnie, że tak powiem, cierpieli, a nie mówiąc, z jakiego powodu. Nas to często oburza, że stawia się znak równości. Nie widziałem tego znaku równości, proszę państwa, pomimo, że ten znak równości jest tam gdzieś między cierpieniami narodu naszego i narodu niemieckiego. Nie było tego. Ja nie rozumiem też, dlaczego ta polityczna szalona awantura. Z punktu widzenia prawdy historycznej te wszystkie partie, które tam zostały umieszczone, istniały. Proporcje nie zostały, moim zdaniem, zakłócone. Natomiast na pewno Niemiec też ma prawo do pewnych, jakiś własnych emocji tak jak i my Polacy chcemy, żeby nasze prawo do takich emocji było szanowane. Zawsze podziwiam kolegę Czarnucha, który w wypadku rozbieżności zdań mówi: „protokół rozbieżności”. W pewnej sytuacji istnieje pewien protokół rozbieżności i ten protokół trzeba uszanować. Ale żeby z tego powodu rozpoczynać jakby nową zimną wojnę w stosunkach polsko-niemieckich, to jest po prostu nieporozumienie, to nie jest ten konflikt. No może ta rura gazowa, o której za mało ciągle wiemy, mogła być powodem do oziębienia stosunków wzajemnych. Ale tego rodzaju wystawa, powiedziałbym, prosta, miejscami banalna, ale i nieprzekłamana, to jest robota szalonego polityka.

I proszę państwa, skończę tą moją wypowiedź tym: nie dajmy się zwariować i jak powiedział tu kolega Woźniak: róbmy swoje. Tu na tym pograniczu mamy chyba lepsze rozeznanie niż niektórzy panowie z centrali, w tzw. „Warszawie” i my mamy doświadczenia, które nas do takiego rozumowania w żaden sposób nie inspirują ani upoważniają. Nie upoważniają nas do tego, żeby w sposób absolutnie, powiedziałbym, humanitarny nie traktować również tego narodu, który skrywamy za miedzą. Szczególnie, jeśli ten naród przyznaje się, że to on spowodował te wszystkie nieszczęścia, które spotkały nie tylko Polaków, nie tylko Niemców, ale i inne narody również. Pewnie Państwo tej wystawy nie zdążą obejrzeć wszyscy. Trzeba ją w każdym razie własnym palcem dotknąć, żeby mieć jakieś własne, a nie zapożyczone zdanie.

Dariusz A. Rymar: Zgadając się z większością tez, które pan Linkowski wypowiedział pragnę dodać, że ta wystawa „jest taka, jaka jest”, dlatego właśnie, że najpierw była dyskusja, a w Polsce oprócz tego podniosły się protesty. Może to one właśnie wpłynęły na to, że te proporcje są jakoś zachowane. Te proporcje między pokazywaniem cierpień Niemców i innych narodów mnie też nie raziły, nie ma tam epatowania niemieckim problemem, tylko jest szeroka panorama, jest to może nawet zrównoważone.

Wojciech Sadowski: Zgadzam się z panem Linkowskim, że jest to wystawa bardzo licha. Przypomina gazetkę ścienną popularną w czasach ZMP. Moją osobistą korzyścią z tej wyprawy było to, iż przy okazji zwiedziłem Berlin. Aby jednak dojść do wniosku, że jest to mizerota ekspozycyjna, należało ją obejrzeć, a właściwie przeczytać. Nie można

jednak patrzeć na tę „planszową pisaninę” w taki sposób, w jaki widzi ją kolega Linkowski. Jest to bowiem perora usprawiedliwiająca dotychczasowe niemieckie nieprawości. Pierwszym jej zamiarem i sędzę że najważniejszym, jest ukojenie niemieckich sumień. Autorzy tekstów chcą przekonać czytających, iż Niemcy wypędzając Polaków z Pomorza, Warszawy lub Zamojszczyzny, nie byli prekursorami tego typu działań i zachowali się tak jak wiele ludów wcześniej. Przy okazji nasi sąsiedzi niezamierzenie pokazali swój relatywizm moralny. Drugim jej zadaniem jest pouczenie zwiedzających, iż Polacy zachowali się obrzydliwie usuwając Niemców z Gorzowa, Witnicy czy Kostrzyna. Przecież ci niewinni Niemcy zostawili nam nawet grzybki zawekowane, które dopiero Czarnuch im zwrócił. Stawiam więc pytanie, jak to się stało, że tu w Gorzowie spotkali się Kresowianie z Niemcami, którzy byli przyczyną ich wyrzucenia z ojcowizny znajdującej się na obszarach wschodnich. Przy okazji przypominam, iż na naszym gorzowskim terenie widziałem jeszcze bardziej obłudną prezentację wysiedlenia niewinnych Niemców. Mniemam, że mało kto ją oglądał, skoro o tym nie mówi się. Mam na myśli wystawę w Dąbroszynie (daty nie pamiętam) hołubioną przez Czarnucha i władze gminne w Witnicy. Wystawa ta „odwiedziła” m.in. Frankfurt nad Odrą i cieszyła się powodzeniem wśród Niemców. Było tam jednak więcej realiów i dlatego jako muzealnik oceniam ją wyżej i lepiej aniżeli wystawę pani Steinbach. Na wystawie dąbroszyńskiej, w sąsiedniej sali wisiała mapa obrazująca ziemię Polski po drugim rozbiórze. Można więc było zamierzenie autorów złośliwie zinterpretować, że Polacy w końcu wypędzili Niemców ze swojej przedrozbiorowej ojczyzny, choć przypuszczam, że myśl ta była obca organizatorom. Dlatego uważam propozycję p. Woźniaka, aby stworzyć w Gorzowie ekspozycję poświęconą Polakom wypędzonym z dawnych Kresów za bardzo interesującą i pouczającą. Odpowiednie relikwia w gorzowskich zbiorach muzealnych istnieją. Czas aby przywiezione przez wysiedleńców obiekty zamiast pleśnieć i parcieć, przemówiły.



Zdzisław Linkowski i Wojciech Sadowski w czasie zwiedzania wystawy „Wymuszone drogi”
(wrzesień 2006)

Proszę wybaczyć, że przy okazji wróć do pojęcia „dzikie wypędzenie”. Dla mnie posiada ono wymowę wybitnie pejoratywną i tendencyjną, a właściwie wyłącznie tendencyjną. Jest ono zwyczajnym popisem zielonogórskiego badacza. Znam „uczonych”, którzy celowo szukają nowych terminów bez najmniejszej potrzeby ich wynalezienia. Skoro już obmyślą „nowość”, to szybko pojawiają się „małpiarze” chełpiący się erudycją. Słowo „dziki” ma kilka znaczeń. Osobiście sędzę, że autorowi tej minidefinicji chodziło o mało cywilizowane usunięcie Niemców z ziem pozyskanych przez Polskę w 1945 roku. Byłem małym świadkiem wysiedlenia. Zaświadczam, że przynajmniej z ulicy Koniawskiej w Gorzowie wydalano Niemców niemal „kurtuazyjnie”. Mój ojciec, uciekinier z okolic Wilejki i brat powstaniec warszawski ofiarowali słońcę i chleb Niemce opuszczającej mieszkanie, w którym przez kilka dni razem mieszkaliśmy. Zarzuciłem wówczas ojcu, że darem tym naruszył pamięć moich kolegów, których zmykające przed sowietami niemieckie oddziały wojskowe podczas krótkiego postoju na stacji Olechnowicze (Białoruś) poczęstowały zatrutymi cukierkami. Konieczna wyprowadzka ludności niemieckiej jak na ówczesne warunki i możliwości polityczne, emocjonalne i transportowe była humanitarna, choć gwałtowna. Zresztą wszyscy w latach 1945–56 żyliśmy w warunkach pierwotnych.

Odnoszę wrażenie, że berlińska wystawa o wysiedlaniu nie miała być dokumentem, lecz zwyczajną agitką, niemiecką duchową adopcją propagandy komunistycznej. Zwróćmy uwagę na zestawienie słów: repatriacja – wypędzeni. Według komunistów Polacy ze wschodu byli „repatriowani”, a Niemcy według pani Steinbach byli wypędzeni i to dokąd? Na stare obszary Tysiącletniej Rzeszy. A my Polacy ze starej ojcowizny na ziemi nieznane choć postulowane od początku wojny wywołanej przez Niemcy. Zachodzi pytanie dlaczego gorzowscy imitatorzy zielonogórskich uczonych częściej zaglądną do literatury niemieckiej niż polskiej? Dlaczego nie przyjmują do wiadomości, że w 1910 roku na Pomorzu było więcej Polaków niż Niemców? Dlaczego nie „trąbią” na temat wynarodowienia Łużyczan? Dlaczego ubolewają nad winowajcami, a nie poszkodowanymi? Dlaczego nie pamiętają, że niemiecka ekspansja polityczna i gospodarcza zawsze poprzedzała państwową? Dlaczego nikt nie odważy się powiedzieć, iż utworzenie administracji kościoła katolickiego również było „dzikie”? Dlaczego na tej wystawie brak liczby wypędzonych do wieczności Żydów, Cyganów, Białorusinów, Polaków? Lokalni badacze Niemcom przyklaskują, a sami milczą!

Moim zdaniem nie było dzikie wypędzenia Niemców. Nasz rząd w roku 1945 działał całkowicie legalnie. Mandat ku legalności dali sami Niemcy, wywołując wojnę i to za ten „heroiczny” czyn otrzymali legalną i sprawiedliwą zapłatę. Nasz rząd był uznany przez wszystkie kraje europejskie, choć rząd ten nie do końca był nasz i nie we wszystkim nam odpowiadał.

W 2003 roku napisałem: „Ten sam herbowy orzeł inaczej krążył nad Landsbergiem, a inaczej krąży nad Gorzowem” i niech on krąży spokojnie, nie bacząc na wcześniejsze „odzienie”. Niech go pani Steinbach przestanie bezskutecznie płoszyć!

Robert Piotrowski: Chcę nawiązać dygresjami – bo wiadomo, że ciężko jest o coś więcej – do kilku wybranych aspektów. Uważam, że wystawa jest bardzo skromna. To wystawa, która ma w ogóle wypromować temat, bo ten temat musi być wypromowany także wśród elit społeczeństwa niemieckiego. Prawdopodobnie, gdyby dzisiaj zrobić wiarygodny sondaż wśród społeczeństwa niemieckiego we wszystkich pokoleniach, landach, grupach społecznych, wynik odpowiedzi na pytanie, co to są „wypędzenia”?, gdzie mieszkali kiedyś Niemcy? itd. byłby zatrważający. Kraj, bo trudno mówić o narodzie – o jednolitym naro-

dzie, nie mówiąc już o podziale na Niemcy wschodnie i zachodnie. Tak więc mieszkańcy tego ogromnego kraju mają problem z tożsamością jako taką, nie mówiąc już o patriotyzmie. Ten krótki wybuch „patriotyzmu”, jaki miał miejsce w okolicy mundialu, można uznać za mały „wypadek przy pracy”. Choć są tacy, którzy nie pozdejmowali jeszcze flag z balkonów czy samochodów. Ale to, powiedzmy, jest taki „wybryk”, stąd powiedzmy sobie – jeszcze jest pole, pole do popisu dla tych, którzy chcą z tą brakującą tożsamością coś zrobić. Jedną z tych organizacji, która chce coś przy tym „zmaistrować”, jest Związek Wypędzonych, jest Erika Steinbach, jest kilku funkcjonariuszy z partii CSU/CDU. Ta grupa chce swój przekaz i swój światopogląd przekazać ogółowi społeczeństwa, uderzyć w te emocjonalne struny, domagając się prawa do wyrażania emocji. Chce to zrobić tak naprawdę w ramach wewnętrznego dyskursu, a to, że o tej wystawie czy w ogóle o planach tej grupy zrobiło się głośno na arenie międzynarodowej, to był efekt niezamierzony. Tak naprawdę Polska zrobiła pani Steinbach niesamowitą darmową reklamę. Ta pani nie byłaby w stanie zapłacić za taką kampanię reklamową, którą jej szczególnie Polacy zgotowali.

Co do kwoty, to nie wiem, jak wyglądał całkowity koszt tego przedsięwzięcia, ale jeśli rzeczywiście to było 500 tys. euro, to większość tych kosztów „zżarły” koszty wynajmu pomieszczeń w takim miejscu – Unter den Linden, w najważniejszym miejscu w Berlinie. Proszę sobie wyobrazić, że kilkaset m² kosztuje tu bająco, do tego ubezpieczenie tych eksponatów, choć skromnych. Tak naprawdę te 500 tys. nie poszło na te ramki, te folie na szybach, tylko poszło na lokal, na firmę ochroniarską, która pilnuje tej wystawy i na przywóz eksponatów, koszt transportu z odległych terenów. To kosztowało tak naprawdę.

To, co należy podkreślić, wracając do tego pierwszego wątku – wystawa powstała w sposób niemieckocentryczny, ponieważ zrobili ją Niemcy, dla Niemców i w Niemczech. Ta wystawa, pomyśl pani E. Steinbach, z Berlinem wiąże się tym, że Berlin jest stolicą Niemiec. To, że nią się stał, powoduje, że wielu jest z tego dumnych i chce by Berlin tworzył taką kolekcję różnych nowych instytucji, które mają tę stolicę dopełnić. W pewien sposób także na arenie międzynarodowej. Pierwszy krok to dbanie, żeby już na arenie wewnątrz-krajowej były one kompletne. Stąd po długiej debacie powstał Pomnik Holocaustu – Milionów Pomordowanych Żydów Europy w centralnym miejscu tej stolicy, parę kroków od nowego centrum gospodarczego, biznesowego, parę kroków od nowego centrum politycznego, w tej kolekcji, można powiedzieć, pamiątek po III Rzeszy, miejsc martyrologii, terroru. Miejsc, które my znamy doskonale, a których młodzi Niemcy nie znają w tym kontekście, jaki my znamy. Stąd chodziło o to, żeby grupa społeczno-polityczna zgłosiła jak „palec do budki”: teraz my chcemy też nasz element wpisać na tę mapę mentalną. Ma być tym, co przez następne pokolenia w takiej kapsule czasu przetrwa. Czyli – tak właśnie chcą swój przekaz, swój światopogląd pokazać. Taką wystawę zafundowali po to, żeby przekazać, co chcą zrobić. Być może wielkie echo, które spotkało te działania ze strony polskiej, to właśnie pokazało, że muszą być ostrożni, żeby coś uzyskać. Jest jasne, że dziś choćby twórcy takiej wystawy gdzieś tam w głębi przekonani byli, że polska strona nie ma racji. Albo że te niemieckie emocje są o wiele ważniejsze. Jak i ci, którzy twierdzą, że w 1944 roku dokonała się agresja Armii Czerwonej na III Rzeszę, bo są też tacy. A jest demokracja i dopuszcza tego typu poglądy i jeśli są ludzie w tym gronie o takich poglądach, to się nie ujawnią, wprost przeciwnie jakiegokolwiek ciągoty tego typu zostałyby uznane za samobójstwo swego rodzaju. Stąd tak dużo tych elementów polskich...

Naprawdę ta wystawa może zostać skonsumowana wtedy, kiedy tkwi się w dyskursie, który trwa wokół tematów tego kraju, ponieważ użyto tam pewnych pojęć, które są swoiste go rodzaju „schowkami”. Pojęcia, które przy bliższym poznaniu otwierają się jak szufladki

w komodzie i tak naprawdę znając w sposób średni język niemiecki, trudno jest się do nich odnieść. Na wystawie i w wieloletnim dyskursie wokół wypędzeń i wypędzonych jest kilka takich pojęć, które pojawiają się na nowo i są w ten sposób promowane. Są takie, które dotąd nie były znane albo ogólnoniemiecki dyskurs tych pojęć unikał. One pojawiają się jako swoistego rodzaju deklaracja czy manifest tej grupy, która tę akurat wystawę zrealizowała. Stąd też tę wystawę może skonstruować czy powinien skonstruować przede wszystkim Niemiec, bo jest do takiego adresata skierowana. Tak żeby też coś anegdotycznego dorzucić: parę kroków od tego miejsca, gdzie wystawa dobiega swojego końca, istniał przez niewiele lat trwania Republiki Demokratycznej Niemiec tzw. Pałac Republiki – to było jedno z pomnikowych dzieł Honeckera, siedziba parlamentu, miejsce najważniejszych wydarzeń tej groteskowej republiki, ten budynek nazywano „Sklepem z Lampami Erika”. Chodziło o to, że NRD dało upust „nowoczesnej” aranżacji i punktom oświetleniowym, tam była ich taka gama, wszelkich możliwych lamp, stąd nazwa. Wystawę, o której dyskutujemy tu, nazwano właśnie złośliwie – także za sprawą użycia oświetlenia plasz czy gablot – „Sklepem Z lampami Eriki”. Ruina Pałacu Republiki właśnie jest demontowana... Więc tę wystawę należy widzieć w kontekście tego, co Berlin ma do dyspozycji wokół i jakie tradycje ma to miasto, ten kraj. Jest tu mnóstwo wystaw, ekspozycji, Berlin to jest miejsce pamięci ofiar Republiki Demokratycznej, wszelkich ofiar niemieckich. Tak jak Nowy Odwach – pierwsze miejsce pamięci RFN, a tam informacja o tym, co to jest za obiekt, jest po polsku, naprzeciwko dosłownie tego obiektu, gdzie jest wystawa pani Steinbach i jej grupy. W dawnym Arsenale, parę metrów dalej funkcjonuje dom pamięci niemieckiej historii z oficjalną wystawą pokazującą ją ze wszelkimi cieniami i wszelkimi blaskami tego państwa i tych społeczeństw. I z wystawami czasowymi. Tam jest mnóstwo okazji, żeby zapoznać się ze szczegółowymi przypadkami takimi jak np. związek niemieckich jeńców spod Stalingradu itd. Tam są także okazje, by zapoznać się z tymi lepszymi fragmentami historii niemieckiej. Po prostu trzeba wiedzieć we wszelkim kontekście tego, co się w Niemczech odbywa i to, w jaki sposób się o tym dyskutuje. I o tym, że to ma miejsce – trzeba o tym powiedzieć. Akuratnie śledziłem na dwóch listach mailingowych w internecie, jak ta wystawa steinbachowska została przez samych Niemców dosłownie rozjechana na drobiazgi. Z powodu tego, co działo się w tym temacie wcześniej, z powodu doboru ludzi, którzy otaczają pani Steinbach, z powodu jej wkładu w życie polityczne w ogóle. Przede wszystkim z powodu, że ona w taki arogancki i ignorancki sposób, czy całe to grono w taki sposób podchodzi do tematu. To wystawa ważna i ona odbyć się musiała, bo wiemy dzięki temu więcej o tym, co dotyczy rzeczoności tematu, problemu tożsamości i co wokół nich się odbywa w Niemczech.

Powiedzmy też, że część polskich wypędzonych, „repatriantów” – jak ich do niedawna nazywaliśmy, gdyby dać im możliwość zrobienia wystawy, może nie za 500 tys. euro, ale może za jakąś mniejszą kwotę, która by im wystarczyła, pewnie też by nas zdziwiła pewnymi sformułowaniami i postawami, też na pewno za niektóre rzeczy byśmy się wstydzili, chociażby przed Białorusinami, Ukraińcami czy Litwinami...

Weronika Kurjanowicz: My tu tak trochę kłamiemy w atmosferze Gombrowicza. Mówiąc o tej wystawie, to jakby odsłaniaamy nasze kompleksy narodowe. Brońmy się przeciwko temu, bo to jest przeszłość. Młode pokolenie tak historii już nie odbiera, naprawdę tak nie odbiera. Nie dajmy się wciągnąć w takie pułapki, które zostały już obśmiane, skwitowano nas z tego. Wprawdzie minister chce nam tego Gombrowicza zabrać, wcisnąć tylko Sienkiewicza, ale nie dajmy się. To jest taki mój pierwszy apel. A drugi mój apel jest taki, że rolę każdego uczciwego człowieka dziś i zawsze jest przeciw-

działanie nienawiści, a zatem tu nie ma wątpliwości, jaką mamy zająć postawę. Brońmy się przed nienawiścią w sobie, wokół nas, przeciwko nienawiści tych, którzy chcą ją nam zaszcześcić. I to wszystko, co chciałam powiedzieć.

Dariusz Rymar: Ale jak to zrobić? Bo na tym kładzie się cieniem ten nieszczęsny gazociąg bałtycki, który stawia relacje polsko-niemieckie w zupełnie innym świetle. Być może przesadzamy, obawiając się tego gazociągu, ale tak już jest, że my w Polsce jesteśmy szczególnie wrażliwi na przejawy strategicznej współpracy niemiecko-rosyjskiej zawieranej ponad naszymi głowami. Nigdy nie kończyło się to dla nas niczym dobrym (rozbiory, Rapallo, pakt Ribbentrop-Mołotow).

Paweł Leszczyński: Jeszcze do niedawna bardzo głośno mówiono o pewnej alternatywie, jakiej dla Centrum Przeciwno Wypędzeniom jest projekt europejski „Pamięć i Solidarność”. Funkcjonowała w publicystyce koncepcja europeizacji problemu wysiedleń, jak to już zostało dzisiaj podniesione w pierwszej wypowiedzi. Była to opcja, trochę używam czasu przeszłego, dlatego że nic o tym ostatnio nie słychać. W ramach tej sieci zaangażowane były rządy polski, węgierski, słowacki i niemiecki. Obecnie mam wrażenie, że cały ten pomysł jest w trakcie rozkładu, strona polska de facto wycofała się z tej koncepcji, nie robiąc nic dla dorzucenia od siebie pewnych kwestii do realizacji przedsięwzięć na skalę europejską.

Na Słowacji procesy polityczne, które dzieją się obecnie, są zatrważające, powiem, że jeszcze bardziej niż w Polsce, dlatego że kierunek nacjonalistyczny na Słowacji jest bardziej wyraźnie zaznaczony m.in. poprzez ostry spór z Węgrami. Pozostaje strona niemiecka, która czeka na pewną inicjatywę ze strony RP. Boleję nad tym, że właśnie ten pomysł europeizacji, w swoim czasie zresztą proponowano instytucjom, by, którym zgodnie z kompetencjami, to zagadnienie mogło być wszechstronnie od strony naukowej, od strony ekspozycyjnej opracowane dla Europy. Tutaj padła już zresztą nazwa Strasburga w tym kontekście. Jak wiemy również bardzo wysoko przez pewien czas notowany był Wrocław na tej giełdzie ewentualnej europejskiej siedziby. Boleję nad tym, że to zagadnienie w tym momencie jest praktycznie zamrożone. Nie zgadzam się właśnie na taką jednostronną wersję tego problemu. A dobrze by było w kontekście integracji europejskiej to zagadnienie ukazać, wiadomo że ono nie jest łatwe. Marzyłoby mi się coś takiego, co stało się w relacjach francusko-niemieckich, gdy – na pewno część z państwa o tym słyszała – powstał wspólny podręcznik historii dla gimnazjalistów. Pewne zagadnienia historii zostały ujęte po wieloletniej debacie, na wzór polsko-niemieckiej komisji podręcznikowej. Oczywiście we Francji te sprawy i w Niemczech sprawa pojednania francusko-niemieckiego jest o wiele dalej posunięta niż w naszym kontekście.

Zagadnienie numer dwa: myślę, że również w kontekście wypędzeń i ich upamiętnienia gdzieś w tle jest to, co tak ładnie wyraził Jan Józef Lipski; niedawno w „Gazecie Wyborczej” przedrukowano jego esej o patriotyzmie, o ojczyźnie, jest to przedruk z „Zeszytów Literackich”. On tam użył bardzo ciekawego sformułowania, np. ważnego szczególnie tu dla nas, że my jesteśmy na tych terenach depozytariuszami tej spuścizny kulturowej, która nam przypadła w udziale w 1945 roku i z tego tytułu mamy stały, trwały obowiązek przyczynić się do tego, by zachować ją w niepogorszonym stanie. Ja to odczytuję jako pewne zadanie o charakterze moralnym, bardzo istotne.

Wreszcie kwestia trzecia: wypadnięcia Polski z debaty europejskiej, Dariusz Rymar poruszył tu kwestię traktatu europejskiego jako jednego z problemów bilateralnych pol-

sko-niemieckich, stało się tak niedobrze, że Polska celowo oddała pole RFN w zakresie podstaw wymiaru wschodniego w Unii Europejskiej. Zobaczmy, że jeszcze w roku 2005 rząd polski miał pewną koncepcję całościowej polityki wobec takich państw, jak Ukraina, Federacja Rosyjska czy też Białoruś; w chwili obecnej nie ma żadnej koncepcji tego wymiaru z polskiej strony. Jest natomiast koncepcja niemiecka, przedstawiona ostatnio przez federalnego ministra Franka Waltera Steinmeiera, gdzie m. in. bardzo mocno zaakcentowano różnicę między nimi, wymiar współpracy energetycznej, by odwołać się do częstokroć przywoływanej dzisiaj rury gazowej, ale nie tylko. W tej koncepcji niemieckiej również dostrzeżono bardzo mocno teren Azji środkowej, również współpracę z takimi może egzotycznymi państwami, jak Pakistan, Kazachstan czy Turkmenistan, również od strony energetycznej. Polski w tej debacie niestety nie ma. Mamy do czynienia z pewną infantylizacją polskiej polityki zagranicznej, obrażamy się, zabieramy swoje zabawki z piaskownicy i wychodzimy. Myślę, że na tej sali większość z nas jest wyznawcami doktryny Wojciecha Młynarskiego: „róbmy swoje”; na pewno dodam jeszcze pomimo i wbrew różnej aurze, która jest na szczęblu centralnym. Dobrze wiemy, że generalnie odbiór tych właśnie tematów, które dzisiaj poruszamy, w środowisku tzw. warszawki jest inny niż tutaj, na terenie pogranicza polsko-niemieckiego. To myślę tyle. Dziękuję.”

Wojciech Sadowski: Ale moje pytanie do Pawła. Czy Niemcy z Rosją współpracują tylko dlatego, że kochają Rosjan, albo na odwrót? Czy jest to tylko walka o źródła energetyczne? My nie mamy takich zasobów gazu, złota, srebra i innych dóbr. My nie mamy takich obszarów, my nie mamy takiego drzewa. Proszę zwrócić uwagę, jak ktoś wędruje po Białorusi, pełno tam firm niemieckich. Nawet spotkałem firmę, która z Gorzowa uciekła i tam się zadomowiła, polskich nie widać. My nie mamy nic, a tam olbrzymie zasoby drewna i na tym dowcip polega, tak musimy liczyć te relacje, a nie w potencjałach ludnościowych.



Wystawa „Wymuszone drogi”

Paweł Leszczyński: Potencjał ludnościowy jest jednym ze składników przy dyskusji o traktacie konstytucyjnym, pamiętajmy, że większość decyzji Unii Europejskiej zależy od tzw. pakt demograficznych, a więc w tym kontekście kwestia potencjału ludnościowego jest bardzo istotna.

Juliusz Sikorski: Ja w zasadzie krótko i tylko parę zdań. Zgłosiłem się do dyskusji, zanim wypowiedział się Robert Piotrowski i wypowiedziała się pani Weronika Kurjanowicz, które to osoby zwerbalizowały w pewnym zakresie też to, co chciałem powiedzieć. Więc, żeby się nie powtarzać, ważne jest to, żebyśmy zwrócili uwagę na fakt, iż za sprawą niektórych mediów i niektórych polityków kreuje się w Polsce obraz Niemców jako rewizjonistów i rewanżystów. W moim odczuciu postawa taka właściwa jest tylko dla pewnej grupy Niemców. Robert zwrócił już naszą uwagę na wystawę poświęconą tej samej problematyce, która była zorganizowana chyba ciut wcześniej. Zorganizowano ją pod patronatem prezydenta Niemiec. Na tej wystawie inaczej rozłożono akcenty, w sposób dla nas myślę satysfakcjonujący, ale o niej się w zasadzie nie mówi. O wystawie Steinbach rozmawiamy tutaj ze względu na organizatora, który jest w Polsce, co zrozumiałe, nielubiany. Jednak generalnie rzecz biorąc przeciętny statystyczny Niemiec, patrzy na te kwestie inaczej. No i druga sprawa. Jeżeli mówimy o stosunkach czy o budowaniu relacji polsko-niemieckich, to musimy dostrzegać ich dwa poziomy: poziom polityki państwowej i poziom, na którym my chcemy te kontakty budować poprzez aktywność samorządów i organizacji pozarządowych. Wydaje mi się, że rozwija się to w dobrym kierunku. Przykładem jest tutaj choćby „Dzwon Pokoju”, który został umieszczony obok pomnika wiadomo co upamiętniającego, i wiadomo na placu o jakiej nazwie. Nie wzbudziło to sprzeciwu strony niemieckiej współpracującej z miastem. Ta grupa osób, z którymi się współpracuje tutaj, ma inny pogląd na te sprawy, na relacje polsko-niemieckie. Chciałbym zwrócić jeszcze uwagę na pewną wypowiedź. Ważną moim zdaniem. W trakcie otwarcia wystawy w Spichlerzu, 30 stycznia 2005 roku, pani Christa Greuling zaczęła swoją wypowiedź od podkreślenia tego, że wie i rozumie, dlaczego doszło do sytuacji, w której musieli opuścić te ziemie. Dlatego też trzeba to zauważyć, że są także Niemcy, którzy zdają sobie z tego doskonale sprawę. Na koniec postulat. Zwróciła na to uwagę p. Weronika. Nie możemy licytować się na krzywdy, bo to nas do niczego nie doprowadzi. Jeżeli będziemy się na nich koncentrować, będą nas one trawiły od środka. Powinniśmy zająć się szukaniem tych elementów, które nas do siebie zbliżają. Pamiętając oczywiście o historii. Traktuję p. Steinbach wyłącznie jako pewne zjawisko, pewien margines, przedstawiciela środowisk skrajnych.

Jerzy Zysnarski: Na początku lat 90. byłem w Herfordzie na zjeździe landsberczan, zabrałem głos w dyskusji i powiedziałem coś, co mogło być pewną herezją: „przeszłość waszej przeszłości jest w rękach naszej młodzieży”. Mówiłem to po polsku i kiedy to tłumacz przełożył, zauważyłem ciszę, konsternację, a potem jakby akceptację tej myśli. O dziedzictwie niemieckim nie można mówić jak o depozycie. Jest to nasze, bo my tu jesteśmy, nikt tego nie zmieni, chyba że będzie jakieś trzęsienie ziemi, jakaś wielka rewolucja, bo my dobrowolnie nie odejdziemy, nikt nas stąd nie wyrzuci, po prostu my tu jesteśmy i ta „przeszłość” trwa dopóki my mówimy, że jesteśmy za to odpowiedzialni i że jest to nasze. Wiemy ile zła zrobiło słowo „poniemieckie” w języku lat 40., 50. W języku mojego dzieciństwa miało ono dwa znaczenia: raz w pozytywnym sensie – jako solidna, niemiecka robota, ale było też drugie znaczenie słowa „poniemieckie” – kul-

turowo obce, niepotrzebne, można to było zabetonować, zniszczyć, wyciąć itd. I tak zniszczyliśmy wiele rzeczy w Gorzowie, łącznie z naszym torem saneczkowym, tylko dlatego że było to poniemieckie... Nie używajmy więc na co dzień tego słowa, bo jest ono zabójcze dla tej poniemieckiej kultury. Musimy być, oczywiście, uczciwi, nie możemy powiedzieć, że to jest nasze, że to nasi przodkowie zrobili, bo nie zrobili, ale w tej chwili my to mamy, jest to nasze i musimy dbać jak o nasze. Pamiętajmy o tym, że dialog z Niemcami na poziomie merytorycznym jest bardzo prosty, Niemcy są narodem o dosyć ścisłych pojęciach: *Heimat* to jest *Heimat*, *Vaterland* to *Vaterland*, z ideologii Heimatu, ojczyzny dzieciństwa, wynika, prawo do Gorzowa, ja jestem rodzony gorzowianin, *ein Gorzower*, i Niemcy uznają moje prawo do tej ojczyzny. Niemcy mają dłuższe i bogatsze od nas tradycje demokratyczne, a ich zasady poprawności politycznej odnoszą się do rzeczy konkretnych, a nie marginaliów. U nas poprawność polityczna jest osobiście zdeterminowana, można opowiedzieć najgorszy dowcip żydowski w towarzystwie i nikt negatywnie nie zareaguje, ale nie wolno np. porównywać Kaczyńskiego do Gomułki, po prostu takie porównanie jest nieuprawnione i już, nie wolno też innym źle pisać o nas. Trzymaliśmy kilka lat na indeksie książkę Christy Wolf o Gorzowie, bo ośmieliła się napisać, że polski żołnierz zgwałcił Niemkę i opisała swój rodzinny dom, że jest on odrapany. Podobnie było z książką Grassa, bo kto pozwolił pić i grać w karty na gruzach poczty polskiej w Gdańsku? A przecież w masie zdarzeń i takie incydenty miały prawo się wydarzyć i zdarzały się.

My tutaj mamy swoje doświadczenia w kontaktach z Niemcami. Zobaczcie, co się dzieje w centrali, posłowie licytują się, kto był mniej razy w Niemczech, znaczy, że kto był mniej razy, jest lepszy. My tutaj kontakty z Niemcami inaczej odbieramy, my ludzie tu urodzeni, wykształceni, mający z Niemcami kontakty także prywatne, długoletnie znajomości. Oczywiście, mamy swoje racje, potrzeby, dyskutujemy o tym, nawet o wypędzaniu czy wysiedlaniu. Ja np. nie mam żadnych kompleksów w stosunku do Niemców, ja się tutaj urodziłem, wychowałem, znam reguły gry.

Henryk Maciej Woźniak: Na pewno o tej wystawie nie można dyskutować jako o samoistnym wydarzeniu, jest bowiem ona supportem dużego przedsięwzięcia, o którym dyskutujemy. Berlińska wystawa to przedsięwzięcie poprzedzające Centrum, do którego trzeba przygotować społeczność niemiecką, ale przede wszystkim międzynarodową. Jeżeli zatem cieszymy się z poprawnego rozłożenia akcentów na tej wystawie, no to miejmy też tego świadomość. Takie są rzeczywiste intencje. Przecież nie o to chodziło, żeby epatować wojenną tragedią niemiecką, ale o to, żeby pokazać Europie, że to Centrum ma oddawać prawdę historyczną. Proszę państwa, nie wolno tego bagatelizować, z tego powodu nie wolno, że nie robią tego głównie historycy. Gdyby robili to historycy to pewnie w ogóle by nas tutaj nie było. Ale robią to politycy. Tę wystawę robili historycy, pod wodzą p. Steinbach, nie można tego bagatelizować, bo to wywoła pewne skomplikowane zjawiska o charakterze socjologicznym, politycznym. Nie można oczywiście reagować histerycznie, tak jak zareagowali niektórzy polscy politycy, np. p.o. prezydent Warszawy -- „nie pojedę do Berlina”. Nie wolno reagować histerycznie, bo jest to objaw braku kultury historycznej, braku również rozumienia kuchni politycznej, to jest ewidentny brak kindersztuby w polityce międzynarodowej. A choćby z tego względu, że my mamy swoje narodowe interesy finansowe i polityczne, to musimy je właściwie identyfikować i mądrze reagować. Jeśli jednak mówimy o całej masie Niemców, że zmienił się stosunek do nas, nie ma już tej ksenofobii, nie ma tej pogardy itd., to nie jest to do końca prawda.

Mówię to, bo jest też u nas w pewnych kręgach skłonność do „lukrowania” polsko-niemieckich stosunków, do zagłaskiwania rzeczywistości. Powiem tak: jeśli wystawa koncentruje się na wypędzeniu, to ona może być prawdziwa co do faktu historycznego, ale czy w pełni odzwierciedla fakty polityczne, złożoność sytuacji w perspektywie historycznej, czy wskazuje na przyczyny czy tylko ukazuje dramatyczne skutki?

Tu przechodzę do tego, co chciałem państwu powiedzieć o pewnym zdarzeniu. Wiosną tego roku miałem okazję i przyjemność spotkać się z panem ambasadorem Andrzejem Byrtem, rozmawialiśmy długo o wielu różnych sprawach, oczywiście nie mogliśmy nie mówić o p. Steinbach. Oto zdarzenie faktyczne, podczas pierwszej misji dyplomatycznej A. Byrta jeszcze w Kolonii prezydent Lech Wałęsa był podejmowany w Norymberdze. Wchodzi do wielkiej sali i wchodzi na elegancką damę i na pytanie, kto to jest słyży odpowiedź Andrzeja Byrta: „To nie jest postać, to nie jest gruba ryba, idźmy dalej”. – „Kto to jest?” – „Taka tam deputowana, próbuje zastąpić Hubkę i Czaję, urodziła się w Sopocie”. A na to Wałęsa: „No to jest moja krajanka, ja chcę ją poznać”. Ta jej postawa, pewnie wtedy zaczęły kiełkować te jej ambicje, ona nic nie znaczyła w polityce, ona szukała miejsca w CDU i widziała, że pokolenie Hubki i Czai odchodzi i pewnie zauważyła dla siebie przestrzeń, na rozwój swojej kariery politycznej. I oto legendarny Wałęsa chce ją poznać! Taka jest wola prezydenta, więc ambasador prowadzi, podchodzi, przedstawia panią Steinbach. Kamery, mikrofony, dziennikarze wszyscy rzucają się oczywiście. Nazajutrz nie w „Tageszeitung”, ale w największych tytułach, na pierwszej stronie „FAZ”: prezydent Wałęsa i pani E. Steinbach. I tak ta pani zaistniała na firmamencie niemieckiej polityki. Pamiętajmy, jak jedno zdarzenie może wiele w życiu zmienić. Tak jak jedno spotkanie odmieniło los pani Steinbach, tak berlińskie Centrum, zacierając różnice między katem i ofiarą, może w przyszłości wpłynąć na bieg historii!

Jerzy Sygnecki: Uczestnicząc w dyskusji związanej ze zwiedzeniem wystawy „Wymuszone drogi. Ucieczka i wypędzenie w Europie XX wieku” zorganizowanej z inicjatywy E. Steinbach w Berlinie, chciałbym zwrócić uwagę na niektóre sprawy związane z tą wystawą. Organizowanie takich wystaw, tworzenie muzeów Śląska itp. zawsze mają ściśle związek ze stosunkami polsko-niemieckimi. Ostatnio byłem na zjeździe historyków w Pułtusku, gdzie podejmowano także te zagadnienia. Na zjeździe tym dowiedziałem się, że grupa historyków z Warszawy opracuje zagadnienia dotyczące aktualnych stosunków polsko-niemieckich i przedstawi te materiały prezydentowi RP do dalszego załatwienia. Można się zgodzić z wypowiedzią Wojciecha Sadowskiego, że sprawę wysiedlenia Niemców należy łączyć ściśle z wysiedleniem Polaków z terenów wschodnich dawnej Polski. W okresie wysiedlenia Niemców z Polski (w Gorzowie Wlkp. w dniach od 22 czerwca do 26 czerwca 1945 r.) nie dochodziło do wielkich zadrażnień pomiędzy Polakami i Niemcami. Do tego czasu Polacy i Niemcy mieszkali w jednym mieszkaniu. Można się także zgodzić z poglądami p. Józefa Lipskiego, że w okresie wysiedlenia Niemców często mówiło się o tymczasowości, gdyż nie było jeszcze regulacji prawnych. Decyzje o wysiedleniu Niemców podjęły w pierwszej fazie władze polskie, a było to związane z napływem ludności polskiej z terenów wschodnich. Konferencja w Poczdamie potwierdzała, że Niemcy zostaną wysiedleni z byłych terenów niemieckich, a przyznanych na podstawie umowy poczdamskiej Polsce.

Oglądając wystawę w Berlinie o przesiedleniach uważam, że nie oddzielono wyraźnie problemu ucieczki Niemców przed wkraczającą Armią Radziecką od wysiedlenia Niemców. Niemcy najwięcej strat doznali w czasie ucieczki, szczególnie zimą 1944/1945

roku. Szkoda, że zbyt słabo ukazano sprawę zakazu opuszczania przez Niemców danych miejscowości, wydanego przez sekretarzy NSDAP i Gauleiterów, jak to miało miejsce na terenie Prus Wschodnich, Pomorza (Szczecina), Gorzowa, Piły i Złotowa. Przeważnie jeden lub dwa dni przed wkroczeniem wojsk radzieckich informowano ludność miejscową, że należy uciekać przed wkraczającą Armią Radziecką, która dokonuje gwałtów kobiet, morduje itp. Niemcy faktycznie nie organizowały ewakuacji ludności niemieckiej. Tak było i w Gorzowie (Landsbergu), gdzie tylko nieliczni, mający informację mogli wyjechać ostatnim pociągiem w głąb Niemiec, czyli na zachód. Pozostali Niemcy w Gorzowie musieli pozostać na miejscu. Za wszystkie dolegliwości, cierpienia w czasie ucieczki odpowiadają Niemcy, którzy uwierzyli w Hitlera i poparli Hitlera w czasie wyborów w dniu 5 marca 1933 r., kiedy to na 45 738 mieszkańców miasta Gorzowa na listę NSDAP oddano 14 602 głosów. Podobnie było w powiecie gorzowskim, gdzie listę NSDAP poparło 20 628 obywateli. To są fakty, nad którymi nie można dyskutować. Niemcy poparli w sposób demokratyczny Hitlera i jego politykę. Można całkowicie się zgodzić z poglądami historyka niemieckiego Götz Aly (patrz „Państwo Hitlera”, Finna Gdańsk 2006), który stwierdza: *Wszak Hitlerowi wielokrotnie udawało się uzyskiwać akceptację swych działań daleko poza szeregami członków partii – wśród zwykłych obywateli Rzeszy Niemieckiej*. Także z procesu aryżacji w Niemczech korzyści odnieśli sami Niemcy, którzy nabyli majątki, fabryki, sklepy po Żydach. Nie można natomiast twierdzić, że w Niemczech byli sami fanatyczni naziści. Sami Niemcy także cierpieli w okresie władzy faszystowskiej. Dla opozycji to władza faszystowska zbudowała pierwsze obozy koncentracyjne. Nie jestem zwolennikiem odpowiedzialności zbiorowej, jednak to Hitler wciągnął niemieckie społeczeństwo do współodpowiedzialności za zbrodnie nazistowskie, oferując mu realne korzyści, rozbudowując przywileje pracownicze i opiekę socjalną, likwidując bezrobocie. Wprawdzie wprowadzono system kartkowy na żywność, jednak do końca wojny Niemcy nie odczuwali zbyt mocno skutków prowadzonej wojny, w piwnicach było pełno żywności do samego jej końca.

Można się zgodzić z poglądami A. Krzemińskiego, publicysty „Polityki” piszącego także w „Gazecie Wyborczej”, który stwierdza że: *Niemcy nie chcieli dostrzec, że u źródeł tych przywilejów stoi prześladowanie przez Rzeszę ludzi „obcych rasowo”, wykluczonych ze „wspólnoty narodowej” i wyzysk narodów podbitych (Niemcze, kim jesteś?, „Gazeta Wyborcza” z 8-9 listopada 2006.*

Dzisiaj organizowanie takich wystaw o wypędzonych i przesiedlonych oraz chęć zbudowania Centrum Przeciwko Wypędzeniom kojarzy mi się z nawracaniem do sytuacji lat powojennych, kiedy to mówiono o tymczasowym zarządzaniu byłymi ziemiami niemieckimi przez władze polskie. Minęło już 60 lat po wojnie, „rany zostały już zagojone” i nie wiem, czy jest sens powracania do tych bolesnych spraw. Nikt nie neguje, że ludność niemiecka także cierpiała w czasie II wojny światowej. Społeczeństwo niemieckie, sami przesiedleńcy muszą zrozumieć, że cierpień tych doznali i utracili ziemie wschodnie, dlatego że poparli politykę wojenną Hitlera, cieszyli się w pewnym okresie z sukcesów armii niemieckiej na zachodzie (z okazji zdobycia Paryża bito w dzwony kościelne) jak i na wschodzie. Niemcy powinni zrozumieć, że deportacje, czyli przesiedlenia ze Śląska, Prus Wschodnich, Pomorza, Wrocławia, Szczecina, Piły, Gorzowa były konsekwencją rozpoczętej przez nazistów II wojny światowej. Ukazanie cierpień przesiedleńców i uciekinierów w kontekście historycznym jest podstawą pojednania. Nie może dojść do reinterpretacji historii przez Niemców, którzy będą tylko ukazywać cierpienia Niemców w czasie ucieczki, bombardowań miast niemieckich Hamburga, Berlina, Drezna w czasie II

wojny światowej lub pod koniec wojny. Trzeba pokazać, co robili Niemcy w czasie II wojny światowej w Polsce, w Związku Radzieckim i wówczas zrozumieją i swoją tragedię.

Upamiętnianie ucieczek i przesiedleń Niemców jest sprawą wewnętrzną rządu niemieckiego. Istotniejszą sprawą jest uznanie stanu prawnego po II wojnie światowej. Sprawę stosunków polsko-niemieckich regulują umowy podpisane przez Niemcy i Polskę, a mianowicie: Traktat między Rzeczypospolitą Polską a Republiką Federalną Niemiec o potwierdzeniu istniejącej między nimi granicy z dnia 12 września 1990 roku oraz Traktat między Rzeczypospolitą Polską a Republiką Federalną Niemiec o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy z dnia 14 listopada 1990 roku. Nie bardzo rozumiem, dlaczego do Traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy dołączono listy (Briefwechsel) z 17 czerwca 1991 roku, gdzie w punkcie 5 stwierdza się, że: *obie strony oświadczają zgodnie: niniejszy Traktat nie zajmuje się sprawą obywatelstwa i sprawami majątkowymi*. Podchodząc do zagadnienia pragmatycznie, uważam, że te sprawy należy uregulować w sposób prawny, by nie było żadnych wątpliwości związanych z mieniem niemieckim pozostawionym w Polsce po przesiedleniu ludności niemieckiej po II wojnie światowej. Wówczas nie będzie żadnych podstaw do działania tzw. Powiernictwa Pruskiego, domagającego się odszkodowania za mienie pozostawione na terenie Polski. Cieszyć może oświadczenie rządu niemieckiego, że nie uznają roszczeń do odszkodowania i nie będą popierać wniosków Powiernictwa Pruskiego. Są to jednak deklaracje czysto polityczne. Tak samo należy uregulować sprawy obywatelstwa, zgodnie z zasadami obowiązującymi w całej Europie. Tym bardziej, że aktualne są wewnętrzne przepisy prawa polskiego o mieniu ponemieckim opuszczonym w wyniku ucieczki i przesiedlenia Niemców. Zgodnie z dekretem z 8 marca 1946 roku (i co jest zgodne z Uchwałą Poczdamską) mienie ponemieckie przechodzi na własność państwa polskiego bez odszkodowań. Stąd aktualne jest pytanie związane z problemem wypędzenia i wystawą w Berlinie jak i z projektem zbudowania Centrum Przeciwko Wypędzeniu, a mianowicie: Wypędzenie i co dalej? (*Vertreibungen und was weiter? – materiały z seminarium polsko-niemieckiego dla studentów odbytego na Uniwersytecie Warszawskim – wyd. Dig Warszawa 2006 r.*). Zgodnie z podpisanym Traktatem o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy, podpisanym na 10 lat z automatycznym przedłużeniem na okresy pięcioletnie (art. 38 punkt 3) istnieje możliwość dokonywania zmian i uregulowanie wszystkich spraw dotyczących aktualnych stosunków polsko-niemieckich. Dotyczy to wszystkich spraw związanych z obrotem prawnym w sprawach karnych, cywilnych, rodzinnych, alimentacyjnych, spraw współpracy regionalnej i przygranicznej.

Według danych niemieckich wystawę w Berlinie zwiedziło 50 tys. ludzi. Według wpisów do księgi pamiątkowej 80% zwiedzających oceniło wystawę pozytywnie. 5% uznało, że ekspozycja za mało mówiła o Niemcach, 10% oceniło wystawę negatywnie, zarzucając jej zbyt wiele błędów technicznych oraz to, że zaprezentowano za mało pisemnych informacji, zdjęć i eksponatów, 5% stwierdziło, że w zbyt małej skali poruszono kwestię wysiedleń międzynarodowych.

Dla nas Polaków niezwykle ważne jest, w jaki sposób Niemcy rozmawiają o swojej historii. Na każdym zwiedzającym tę wystawę, nawet tym najbardziej doświadczonej przez wojnę i niemieckie zbrodnie, robią wrażenie zdjęcia niemieckich uciekinierów, ostrzeliwanych przez wojska sowieckie, szczególnie na Zalewie Wiślanym. Niemcy jednak nie mogą zapomnieć o genezie tych wszystkich nieszczęść. Przyczyną tych nieszczęść było podpisanie niemiecko-sowieckiego porozumienia w 1939 roku, podważającego porządek polityczny ustanowiony w traktacie wersalskim, wywołanie przez Niemcy

II wojny światowej. To Niemcy pierwsi rozpoczęli wysiedlanie ludności z Wielkopolski i z rejonów nadgranicznych. Niemcy nie mogą zapominać o genezie tych wszystkich nieszczęść. W niedawno przeprowadzonym sondażu co czwarty Niemiec uznał wyrzeczenie się Śląska i Pomorza za złą decyzję. Niektórzy młodzi Niemcy nie chcą niczego wiedzieć o okresie faszystowskim w Niemczech. Taką rozmowę przeprowadziłem z młodym Niemcem w wieku około 30 lat, który twierdzi, że urodził się po II wojnie światowej i nie obchodzi go to, co działo się w czasie II wojny światowej w Niemczech.

Niemcy mają prawo do opłakiwania swoich rodaków, ofiar wojny, szczególnie ludności cywilnej, tego nikt nie kwestionuje. Ważne jednak jest ukazanie przyczyn, które doprowadziły do tych tragedii, do ucieczki w warunkach zimowych. Nie można tej sprawy ukazywać tylko jednostronnie, czyli tylko i wyłącznie poprzez los ludzi uciekających i ich tragedie. Można także odnieść takie wrażenie, że to inne narody są sprawcami nieszczęścia ludności niemieckiej, a w domyśle także Polacy. Jest to próba przerzucania winy przez katów na ofiary. Można odnieść także wrażenie, że organizowanie takich wystaw ma związek z taktyką przeczekania.

Zawsze byłem i jestem za pojednaniem z Niemcami. Uważam, że z sąsiadami należy żyć w zgodzie. Polska jest członkiem Unii Europejskiej i wszystkie sprawy związane ze stosunkami polsko-niemieckimi należy uregulować prawnie, jeszcze przed podpisaniem konstytucji europejskiej. Dobrze się stało, że Niemcy chcą pomóc Polsce rozwiązać problemy energetyczne, szczególnie dotyczy to dostarczenia gazu do Polski i widzą problemy Polski związane z budową gazociągu na dnie morza. Doszło do podpisania umowy pomiędzy firmą niemiecką VNG w dniu 17 sierpnia 2006 roku o dostarczeniu gazu do Polski. Umowa jest wieloletnia i do 1 października 2016 roku przewiduje się dostawy do Polski około 400 mln. m sześciennych gazu rocznie.

Kończąc swoje rozważania, zastanawiam się, w jakim celu organizuje się takie wystawy o przesiedleńcach, skoro minęło już 60 lat od zakończenia II wojny światowej. Jestem wyznawcą poglądów Marion Gräfin Dönhoff, która była zwolenniczką pojednania polsko-niemieckiego, a która stwierdziła, że można kochać rodzinne strony, jednak ta miłość nie powinna być wymierzona przeciwko nabywcom tych ziem po II wojnie światowej (M. Dönhoff, *Dzieciństwo w Prusach Wschodnich*, Berlin 1993).

Zbigniew Czarnuch: Był czas, gdy Polacy i Niemcy znajdowali się w różnych konfiguracjach wzajemnej wrogości czy niechęci. Ten okres na szczęście mamy sobą. Od kilku lat jesteśmy częścią Unii Europejskiej. Wkroczyliśmy w etap poszerzania pola, które nas łączy. Wynika z tego postulat odchodzenia od postawy konfrontacji na rzecz postawy ludzi dialogu. To zaś pociąga za sobą wykrzesywanie z siebie woli wzajemnego poznawania siebie. Przejawiania uczuć empatii. Podejmowania próby zrozumienia racji partnera.

W ostatnich latach kością niezgody jest problem Centrum Przeciw Wypędzeniom. Można przytoczyć wiele argumentów przemawiających za tym, że nam Polakom, zwłaszcza ludziom klasy politycznej, sztuka dialogu, czyli wola wysłuchania racji strony przeciwnej jest zupełnie obca. Liczy się tylko sztuka monologu, przekrzykiwania rozmówcy w celu zademonstrowania swego punktu widzenia. Nim jeszcze berlińska wystawa Związku Wypędzonych została otwarta, już nasi czołowi politycy ją potępili, a Młodzież Wszechpolska wysłała do Berlina protestacyjną pikietę.

Zaliczając się do rzeczników polsko-niemieckiego pojednania, staram się od lat bliżej poznać Niemców i ich sprawy, ze szczególnym uwzględnieniem spraw ziomkowskich. Próbuję wczuć się w ich sytuację, ich punkt widzenia i śledzę ewolucję postaw tego

środowiska. Od powojennej postawy nieprzejednania i dążenia do rewizji granic, po uładzenie się z realiami pryncypiów współzycia narodów w warunkach Unii Europejskiej. W sprawie omawianej tu wystawy mam ten komfort psychiczny, że przed jej otwarciem miałem możliwość dwukrotnie gościć u siebie w Witnicy jej komisarzy i dyskutować z nimi na temat jej założeń i także dwukrotnie ją odwiedziłem. Byłem zaproszony na jej otwarcie i po ukazaniu się w naszych mediach jej krytycznych recenzji pojechałem tam raz jeszcze, by przeanalizować stawiane zarzuty.

Po raz pierwszy koncepcję wystawy przedstawił mi komisarz Wilfried Rogatsch, który przyjechał do Witnicy z Helgą Hirsch, by obejrzyć eksponaty naszej Izby Regionalnej i ewentualnie wybrać eksponaty na wystawę. Wilfried Rogatsch raz jeszcze przyjechał z Doris Müller-Toovey. Wypożyczenie eksponatów uzależniłem od zapoznania się z koncepcją wystawy. Jej tematem miało być kilkadziesiąt wypędzeń, jakie miały miejsce w XX wieku w Europie. Celem miało być uświadomienie zwiedzającym losu wypędzonych i w obliczu niedawnych czystek etnicznych na Bałkanach zaprotestowanie przeciw takim politycznym praktykom we współczesnym świecie. Wystawa miała składać się z trzech części: historycznego wykładu, socjologicznej analizy samego zjawiska i jego przejawów w różnych dziedzinach życia wygnańców i działu zatytułowanego „Dialog” ukazującego perspektywę unikania takich praktyk. Wystawa, jak ją zrozumiałem, miała dwóch adresatów. Pierwszym byli politycy innych państw odwołujący się do tych praktyk, a drugim adresatem byli Niemcy. Trzeba bowiem zdać sobie sprawę z tego, że najdotkliwsza kara za wywołaną wojnę dotknęła wypędzonych, którym zwycięzcy odebrali dobytek i pozbawili ojczyzny. Pozostałych Niemców to nie spotkało. Jakby tego było mało, wypędzeni zostali potraktowani przez tych drugich jako przybłędy z pogardzanego południa czy wschodu. Tych ostatnich obrzucano pogardliwym określeniem „Polacken”, podobnie tak jak mieszkańcy Wielkopolski tu na Ziemiach Zachodnich tuż po wojnie pogardliwym „chamy zza Buga” określali wypędzonych z Kresów Wschodnich. Tu u nas osadnicy zajęli wolne domy i gospodarstwa. Na Niemców wypędzonych wolne domy i zagrody nie czekały. Stąd mówi się o drugim wypędzeniu, boleśniejszym, bo dokonany przez swoich. Te sprawy poza kręgami wypędzonych były przemilczane w życiu publicznym. Walka Związku Wypędzonych o powołanie Centrum Przeciw Wypędzeniom ma, jak zrozumiałem intencje organizatorów, przede wszystkim tych dwu adresatów na uwadze.

Koncepcja wystawy bardzo mi się spodobała. Zarówno jej spokojny, obiektywny tok wywodu, jak i położenie akcentu na fakt, że nie tylko Niemcy spotkał ten dramat, ale także reprezentantów tylu innych narodów, także Polaków w latach wojny i po wojnie, w czym zaakcentowano problem przyczyn i skutków wypędzenia Niemców z Polski. To było czymś nowym w sposobie przedstawiania problemu wypędzeń Niemców.

Podobał mi się zwłaszcza dział trzeci ukazujący fakty zapobiegania temu zjawisku przez dialog. Moja akceptacja koncepcji wystawy wynikała także z zafascynowania postacią szefa Niemców wypędzonych z Gorzowa, Hansa Beske, który przed wielu laty, formułując program „Wege zueinander” – „Dróg ku sobie”, pisał, że landsberczycy i wypędzeni ze swych małych ojczyzn gorzowianie mają do spełnienia misję: uświadomienia innym losu wypędzonych. Dlatego zasugerowałem komisarzom, że gotów jestem im wypożyczyć z moich zbiorów bibliotecznych oba wydania książki „Wege zueinander” jako przykład sprawdzonej drogi ku zapobieganiu takim praktykom. Powiedziałem komisarzom kąśliwie, że jej zamieszczenie na wystawie będzie dla mnie rodzajem papierka lakmusowego, czy to co mi opowiadają, będzie wdrożone. Kąśliwość wynikała z faktu, że rok wcześniej był u mnie komisarz drugiej wystawy na ten sam temat: „Flucht, Vertrei-

bung, Integration” organizowanej przez Muzeum Historii Niemiec w Bonn, wystawionej po drugiej stronie Unter den Linden, któremu także zaproponowałem wyeksponowanie tych książek; ten jednak propozycji nie podjął. Miło mi więc było, gdy obie książki na omawianej tu wystawie w dziale „Dialog” na ekspozycji zobaczyłem. W dziale tym wyeksponowano także wypożyczoną z Witnicy walizkę z teatralnymi strojami i dwujęzyczną książką dokumentująca piękną współpracę przedszkoli w Nowinach Wielkich i Münchebergu. Zamieszczono tu także trzy fotografie instalacji z Witnickiego Parku Drogowskaszów poświęconej wypędzeniom. Komisarz wystawy z Bonn zamierzał symbolicznie witnicki drogowskaz wypożyczyć, nic jednak z zamiaru nie wyszło; natomiast na wystawie „Erzwungene Wege Flucht und Vertreibung im Europa des 20. Jahrhundert” zamieszczono trzy jego zdjęcia, które także zamieszczono w katalogu.

W tym naszym ataku na tę wystawę jak pod mikroskopem widać: po pierwsze nasz stopień zaawansowania w sztuce dialogu, czyli woli zrozumienia intencji partnera, a po drugie nasze stare postrzegania świata w kategoriach niemieckiego „Drang nach Osten” i obrońców oblężonej twierdzy.

Dariusz A. Rymar: Zaprosiłem państwa do dyskusji na temat wystawy. Nie podzielam krytycznych uwag odnośnie wystawy. Co więcej, mnie się ta wystawa podobała. Nie jestem muzealnikiem i nie oceniam jej od strony organizacyjno-technicznej, nie znam się na tym, ja patrzę na nią jak historyk, który o dziwo wielu rzeczy się na niej dowiedział. Przykładowo dowiedziałem się o wysiedlaniu Włochów z Jugosławii. Wstyd przyznać, ale nie miałem o tym pojęcia, podobnie jak o wypędzeniach na Cyprze. Ponadto poszerzyłem wiedzę o innych zjawiskach. Chciałbym też podkreślić duże kompetencje osób, które przygotowały wystawę. Ku mojemu zaskoczeniu jej autorzy doskonale orientują się w polskich realiach. Zaskoczyło mnie, że doskonale rozumieją propagandowe znaczenie pojęcia „repatriant”, którym to określane Polaków przesiedlanych w 1945 roku z ZSRR. Zostało to dokładnie wyjaśnione. Z panem Wojciechem Sadowskim oglądaliśmy ku naszemu zaskoczeniu fragment dotyczący Zamojszczyzny i dramatu polskiej ludności z okresu okupacji. Widziałem także elementy związane z wypędzeniami z Wielkopolski, które nazywa się „wypędzeniami”, a co w naszej literaturze nazywa się „wysiedleniem” (a więc trudno tu Niemcom zarzucić niekonsekwencję).

Będąc pełen uznania do fachowości, z jaką przygotowano wystawę, z drugiej strony pozostaję nadal nieufny wobec jej inicjatorów i organizatorów, grona skupionego wokół pani E. Steinbach. Ja nie mogę oprzeć się wrażeniu, że tak, jak powiedziałem, to jest siła polityczna w Niemczech. No i to słowo „wypędzenie”, które my rozumiemy zupełnie inaczej niż Niemcy i dla nas jest trudne jego zaakceptowanie, bo w nim się kryje negacja konsekwencji II wojny światowej. Nie mogę też zrozumieć, że pani E. Steinbach uważa siebie samą za wypędzoną, chociaż urodziła się w Gdyni. No i te dowcipy o polskich piłkarzach: przecież na mundialu gospodarze – Niemcy – przegrali tylko z późniejszymi mistrzami Włochami, a zwycięstwo z naszą drużyną przyszło im chyba najtrudniej. Jestem jednak przekonany, że wkrótce nasi piłkarze się im zrewanżują! Dziękuję państwu za udział w dyskusji.

Uczestnicy dyskusji:

Zbigniew Czarnuch, historyk, regionalista, emerytowany nauczyciel

Weronika Kurjanowicz, emeryt, wieloletni nauczyciel jęz. polskiego w Technikum Ekonomicznym w Gorzowie

Paweł Leszczyński, dr praw, wykładowca Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Gorzowie

Zdzisław Linkowski, historyk, długoletni dyrektor Muzeum Okręgowego w Gorzowie

Robert Piotrowski, regionalista, kulturoznawca

Dariusz A. Rymar, dr historii, dyrektor Archiwum Państwowego w Gorzowie

Wojciech Sadowski, dr nauk humanistycznych, antropolog kultury, emeryt

Juliusz Sikorski, historyk, kierownik Oddziału w Archiwum Państwowym w Gorzowie

Jerzy Sygnecki, historyk, nauczyciel jęz. niemieckiego

Henryk M. Woźniak, wiceprzewodniczący Sejmiku Lubuskiego

Jerzy Zysnarski, dziennikarz, publicysta